

## PORCELANOWA BALETNICA– ŚWIADEK WALCZĄCEJ WARSZAWY

Patrzę na porcelanową figurkę baletnicy i podziwiam jej misternie wykonaną spódniczkę. Przyglądając się dokładniej dostrzegam, że koronkowe fałdy są krótkie, jakby ktoś obciął je nożyczkami. Również delikatna postać baletnicy jest mocno uszkodzona: z prawego wzniesionego w górę przedramienia pozostał jedynie kikut, także cokół, na którym figurka została osadzona, jest lekko obtłuczony. Zadaję sobie pytanie: w jakich okolicznościach tak pięknie wykonany przedmiot został uszkodzony? Albo świadkiem jakich wydarzeń była porcelanowa tancerka?

Pora przedstawić moją bohaterkę. Ma ona zaledwie 9,3 cm wysokości. Jej piękna, kształtna główka jest lekko uniesiona, okolona puklem brązowych włosów, misternie po bokach i z tyłu spiętych w małe koki. Prawa ręka wzniesiona w górę, a lewa zakończona szczupłą, o długich palcach dłonią, zgiętą na wysokości piersi, pod kątem prostym. Stopa lewej nogi baletnicy jest lekko wysunięta do przodu i tym samym podtrzymująca na palcach ciężar całego ciała. Prawa stopa pozostaje z tyłu i mocno przylega do podłoża. Tors tańczącej ubrany został w body koloru żółtego, natomiast koronkowa spódniczka była pierwotnie paczką romantyczną, a więc spódnicą sięgającą poza kolana tancerki. Spódniczka, która kiedyś była białego koloru pozostaje misternie ułożona w koronkowe fałdy, a do nich tu i ówdzie zostały dopięte pączki kwiatów i zielonych listków. Figurkę osadzono na owalnym cokole ozdobionym złotym ornamentem, na spodzie którego widnieje, odcisnięty w kolorze granatu, symbol manufaktury porcelany mieszczącej się w Turynгии – Rudolstadt – Volkstedt-założonej w 1907 roku i specjalizującej się w produkowaniu tzw. figurek koronkowych.

Dzisiaj trudno jest ustalić, w jakich okolicznościach porcelanowa baletnica znalazła się w domu małżonków Kazimierzy i Wacława Pawłowskich – moich dziadków, mieszkających przy ulicy Uniwersyteckiej nr 4 na warszawskiej Ochocie. Może była prezentem подарowanym dla pani domu lub jej córek, może pamiątką przywiezioną z podróży, a może, zwyczajnie została wypatrzona w jakimś warszawskim sklepie z porcelaną? W każdym razie zamieszkała sobie pośród innych porcelanowych figurek, w pięknej mahoniowej serwantce i stamtąd cieszyła oko domowników. A w sposób

szczególny upodobała ją sobie jedna z córek państwa Pawłowskich – kilkunastoletnia Krysia.

Co pewien czas laleczka z porcelany przechodziła delikatny „zabieg higieniczny” polegający na usuwaniu z niej drobin kurzu, który mimo przetrzymywania jej w szczelnie zamkniętej gablocie, jakimś niewidocznym sposobem przedostawał się do środka. Panna służąca niezwykle ostrożnie zdejmowała ją ze szklanej półeczki i wyjmowała na zewnątrz. Trzymając w dłoni, pod czujnym okiem pani domu, muskała delikatnie porcelanową postać, specjalnie do tego celu przeznaczoną, miotełką z piór. Takiemu zabiegowi poddawana była regularnie co kilka miesięcy.

Aż nadszedł tragiczny 1939 rok. Szok i niedowierzanie związane z wybuchem wojny, wysłuchiwanie komunikatów radiowych, obserwowanie niemieckich samolotów i ucieczki do piwnicy w czasie bombardowań, zupełnie odmieniły dotychczasowe stabilne i szczęśliwe życie rodziny. W pierwszych dniach września Pawłowscy zostali zmuszeni do opuszczenia domu i miasta. Na pewno myśleli o tym, co może się stać z ich domem i całym dorobkiem życia. Los zawiódł ich aż do Moroczna położonego w województwie poleskim. Już po 17 września Pawłowscy przedostali się do Pińska, gdzie zostali zaaresztowani przez Sowieców i osadzeni w twierdzy w Brześciu. Szczęśliwy powrót do Warszawy zawdzięczają rozwadze, umiejętnościom dyplomatycznym i przezorności głowy rodziny.

Z uwagi na fakt, że rodzina od kilku pokoleń miała tradycje patriotyczne, Pawłowscy nie mogli pozostać obojętni na to, co działo się wokół nich. Wacław Pawłowski, należał do 7 Pułku Piechoty Legionów „Garłuch”. Był w stopniu podporucznika. W konspiracji przybrał pseudonim Łopata” i sprawował funkcję oficera gospodarczego. Oczywiście o jego podziemnej pracy najbliżsi nie mieli w ogóle pojęcia. Jego córka Krysia wstąpiła do Konfederacji Narodu, przeszła szkolenie z posługiwania się bronią palną i granatami. Po pomyślnym zdaniu egzaminów teoretycznych i praktycznych otrzymała stopień kaprała. Miała wtedy 15 lat. Oczywiście uczęszczała na tajne komplety. Z czasem rozpoczęła swoją pierwszą pracę w pracowni radiologii mieszczącej się przy szpitalu Dzieciątka Jezus, a prowadzoną przez profesora Stanisława Trojanowskiego.

Na pewno ważnym momentem w życiu Krysi było przyjęcie pseudonimu, bowiem do posiadania kilku tożsamości dawno już się przyzwyczyła. Wychowana na literaturze patriotycznej, a przede wszystkim Trylogii H. Sienkiewicza, bez wahania podała jako swoje konspiracyjne imię „Krzysia”. Jak zapewne wszyscy jej rówieśnicy chciała walczyć z wrogiem, być przydatną. Kiedy dowiedziała się od swojej przyjaciółki “Zuli”, że ta może wprowadzić ją do sekcji sanitarnej w batalionie “Parasol” - była ogromnie szczęśliwa. Wiadomość, że sekcją tą dowodzi słynny Doktor „Maks” (Zbigniew Dworak), napawała ją dumą. I tak rozpoczęła konspiracyjne życie, narażając je praktycznie każdego dnia. Oczywiście nikomu z domowników nie mówiła, że przewoziła tramwajem broń, trzymając ją na kolanach zapakowaną w papierową paczkę, że udało jej się wyjść z ulicznej łapanki, kiedy przekonywała Niemca pokazując mu materiał na sukienkę, na który rzekomo w domu czeka jej mama, że po domach roznosi pocztę...

Aż nadszedł dzień 1 sierpnia 1944 r., to był wtorek, pełnia lata. Od rana wyczekiwała na telefon, wiedziała, że ktoś znajdujący się po drugiej stronie słuchawki, poda jej hasło i wszystkie szczegóły. Dzwonek telefonu był dla niej sygnałem, że wkracza w jakiś nowy, nieznany jej etap życia. Tego dnia pozostawiła rodziców, a porcelanowa figurka, niemy świadek wydarzeń, nadal stała sobie na szklanej półce w serwantce.

Wraz z rozpoczęciem walk włączyła się w nie jako sanitariuszka. Pierwszej pomocy udzieliła cywilowi robiąc mu zastrzyk. Była tak przejęta, że nie zauważyła, iż człowiek ten został śmiertelnie ranny. Sama również doznała kontuzji nogi, skacząc z pierwszego piętra budynku Haberbusch & Schiele. Ponieważ nie zdołała dotrzeć do swojego oddziału, przyłączyła się do kolegów z batalionu „Chrobry I” i już w nim pozostała.

Zdawała sobie sprawę, że każdy dzień niesie śmiertelne niebezpieczeństwo. Z trwogą przyjęła wiadomość o męczeńskiej śmierci swojej przyjaciółki Marysi. Jednak jej determinacja oraz wola walki o swoje ukochane rodzinne miasto była tak silna, że bez cienia wahania przyjmowała każde polecenie i rozkaz. Na całe życie w swojej pamięci, niczym kadry z filmu, zarejestrowała kilka wydarzeń z Powstania: przedzieranie się z Woli na Stare Miasto, kiedy to przypadkowo napotkany ksiądz udzielił jej i całemu

batalionowi, absolucji zbiorowej. Od tej chwili, pojednana z Bogiem, przygotowana była na najgorsze.

Doskonale zapamiętała dzień 31 sierpnia, bowiem wtedy wraz z batalionem znajdowała się na terenie Pasażu Simonsa położonego u zbiegu ulic Długiej i Nalewek. W piwnicach znajdował się powstańczy punkt sanitarny i miejsce schronu dla cywilów. Podczas przygotowywania posiłku, nagle nad Pasaż nadleciały niemieckie samoloty zrzucając na niego bomby. Jak długo trwał nalot? Nie była w stanie określić. Pamięta, że nagle wokół niej zrobiło się zupełnie ciemno, a wszechobecny pył wciskał się do nosa i ust utrudniając oddychanie. Instyktownie skuliła się i poczuła mocne uderzenie w głowę – straciła przytomność. Po jej odzyskaniu, w zupełnej ciemności, zaczęła rękoma „badać” teren. Zorientowała się szybko, że z góry i dołu otoczona jest betonowymi ścianami. Rękoma usiłowała je wypychać, jednak bezskutecznie. Dotarło do niej, że jest żywcem pogrzebana. Nagle, tuż obok siebie, usłyszała głos kolegi z batalionu, Andrzeja Goebła, który nakazywał jej czołgać się. „Krzysia” nie widzi kolegi, ale doskonale czuje jego dotyk. Zaczyna posłusznie stosować się do jego poleceń. Wśród sterty betonowych płyt czołgała się niczym wąż. Do jej uszu dobiegały wołania o pomoc i jęki zasypanych rannych kolegów, jednak nie miała żadnych możliwości, aby przyjść im z pomocą. Aż w pewnym momencie zauważyła, że wokół niej robi się coraz jaśniej. Był to dla niej sygnał, że posuwa się właściwą drogą, że dzięki wskazówkom kolegi uratuje życie. Po wyjściu na powierzchnię poczuła ból głowy, okazało się, że ma na niej ranę ciętą. Zauważyła również, że obok nie ma Andrzeja Goebła. Dopiero po pewnym czasie dowiedziała się, że w momencie jej zasypania Andrzej już trzeci dzień nie żył, dlatego nikt nie chciał dać wiary jej zapewnieniom, że to głos Andrzeja wyprowadził ją z labiryntu gruzów.<sup>1</sup> Wszyscy uważali, że postradała zmysły.

Ogromne przeżycie i napięcie psychiczne towarzyszyło jej podczas przejścia kanałami. Doskonale znała taktykę przedostania się do kanału znajdującego się pod ciągłym ostrzałem wroga. W wyznaczonym czasie, w skupieniu oczekiwała na moment, kiedy „Barry” wywoła jej powstańcze imię. Na dźwięk: “Krzysia”

---

<sup>1</sup>Grób Andrzeja Goebła (bardzo zaniedbany) znajduje się na Starych Powązkach kwatera 37, rząd 6, miejsca 20-21.

energicznie poderwała się i pojedynczymi skokami, aby uniknąć postrzelenia, znalazła się u wjazdu do kanału. Cała akcja trwała zaledwie ułamki sekund, lecz jej wydawało się, że w nieskończoność. Ale to nie koniec kłopotu. Do tej pory nigdy nie była w kanałach. Przez głowę przeleciała myśl: “Jak do nich wejść”? Jednak szybko zauważyła, że wewnątrz wjazdu znajdują się kłamry. Zejście w dół nie stanowiło dla niej, młodej i sprawnej kobiety, jakiegokolwiek problemu. A na dole znalazła się, w grupie ludzi podobnych do niej, oczekujących w zupełnej ciszy na morderczy marsz. W tym momencie rozpoczęła swój exodus w kierunku dzielnicy Żoliborz. Jak długo szła dusznymi, ciemnymi, wypełnionymi lepka mazią o odrażającym zapachu tunelami? Nie liczyła czasu, swoją uwagę skupiła na tym, by nie poślizgnąć się i nie upaść, by chronić głowę przed rozbiciem, by zwracać uwagę na powstańców słabszych nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Jednak w pewnym momencie straciła równowagę i upadła. Na obolałym ciele poczuła stopy innych przechodzących powstańców. Zrozumiała, że jeżeli szybko się nie podniesie, może zostać zdeptana. Instynkt przetrwania zadziałał – znowu była na nogach! Najtrudniejszy moment nastąpił koło Dworca Gdańskiego, bowiem znajdujący się tam wjazd Niemcy zaczęli ostrzeliwać. Było wielu rannych i zabitych. Po kilkugodzinnym marszu nagle zobaczyła nad głową wjazd, który okazał się drogą wyjścia. Znalazła się na powierzchni w dzielnicy Żoliborz. Trafiła na osiedle domków jednorodzinnych, gdzie miała dostęp do wody i szybko się umyła. Tutaj zaopiekowała się rannymi żołnierzami, dla których zorganizowała schronienie w piwnicy prywatnego domu, pomimo sprzeciwu jego właścicieli. Na Żoliborzu dowiedziała się o kapitulacji powstania. Była rozpacz i niedowierzanie, ale rozkaz o poddaniu się należało wykonać.

Drogę z Żoliborza, przez Wolę do obozu w Pruszkowie pokonała piechotą, szła razem z ludnością cywilną eskortowana przez Niemców. W przydrożnych rowach widziała pomordowanych ludzi. Sama przedstawiała żałosny widok mając na sobie obszerną marynarkę, a na nogach za duże rozlatujące się męskie buty. Wyglądała jak stara kobieta, a nie dziewiętnastoletnia dziewczyna. Jedyne jej majątki stanowiła złota bransoletka z umocowanym na niej złotym zegarkiem – prezentem od rodziców. Miała go na przegubie dłoni przez całe Powstanie i stanowczo sprzeciwiła się Niemcowi,

który chciał go od niej otrzymać w zamian za wykupienie od wywozu na roboty do Niemiec. Szczęśliwym trafem znalazła się w pociągu jadącym w kierunku Krakowa. Dla niej etap podróży zakończył się w Miechowie. Otrzymała kwaterę u rodziny, która przyjęła ją bardzo serdecznie. Pierwszym jej marzeniem było zrzucić z siebie brudne i podarte ubranie i przede wszystkim umyć się. To wtedy dostrzegła, że towarzyszą jej wszy...

Z Miechowa los zaprowadził ją do Krakowa, gdzie w Radzie Głównej Opiekuńczej otrzymała wiadomość o żyjących rodzicach. Poczuli się jak małe dziecko, które ogromnie się cieszy, ale również i tęskni za bliskimi. To co zaprzątęło jej głowę, to jak najszybciej znaleźć się w Milanówku i wpaść w ramiona mamy i taty. Naturalnie podróż musi odbyć koleją, ale zanim dotrze na dworzec, postanowiła wejść do kościoła i wyspowiadać się, bowiem uważała, że ma na sumieniu ciężki grzech. W konfesjonale wyznała, że jest z Powstania i że samowolnie ze spiżarni domu, w którym przebywała razem z rannymi, wzięła część jedzenia. Taki był jej „ciężki grzech”. Ksiądz nie tylko udzielił rozgrzeszenia, ale zaprowadził do najbliższego sklepu i kupił nowe buty, które już nie spadały z nóg.

Zmęczona i wycieńczona „Krzysia” znalazła się na dworcu kolejowym. Bez zbytniego zastanawiania wsiadła do pierwszego stojącego na peronie pociągu. Czekala ją długa podróż, a zła kondycja fizyczna dawała o sobie znać. Wiedziała, iż musi usiąść, dlatego weszła do, jak jej się wydawało, eleganckiego przedziału, w którym siedzieli... niemieccy żołnierze. Niestety, nie mogła się już wycofać. Zapewne zdziwienie było obopólne, ale „Krzysia” szybko zlustrowała wzrokiem jadących – mieli mniej więcej tyle samo lat co ona. Żołnierze gestami pokazali jej, aby usiadła. Cała sytuacja stała się dla niej niezręczna. Jeszcze niedawno walczyła w Powstaniu, widziała okrucieństwa jakich dopuszczali się Niemcy na powstańcach i ludności cywilnej, a w chwili obecnej jedzie z nimi w jednym przedziale i na dodatek nie zna języka niemieckiego. Na szczęście jeden z nich mówił gwarą śląską. Powiedziała, dokąd chce cię udać. Niestety, pociąg jechał w innym kierunku i wiozł młodych niemieckich żołnierzy na front Wschodni. Mimo to przez kilka godzin znajdowała się w ich towarzystwie. Żołnierze, w co trudno uwierzyć, poczęstowali ją swoimi przydziałami

i poprzez tłumacza zabawiali rozmową. To oni podjęli decyzję, kiedy nastąpi dogodny moment, aby znaleźć dla niej inny pociąg.

Dla „Krzysi” podróż ta trwała w nieskończoność, bowiem nie można było przewidzieć, kiedy i na jak długo pociąg się zatrzyma, a takie sytuacje miały miejsce. „Krzysia” obserwowała żołnierzy, słyszała ich rozmowy, nie rozumiała czego dotyczyły. W pewnym momencie pociąg ponownie się zatrzymał. Niemcy wyszli na tory i zauważyli nadjeżdżający z przeciwka wojskowy skład, który również się zatrzymał. Nadarzyła się najbardziej odpowiednia sytuacja, aby przesadzić polską pasażerkę. W tajemnicy ukryli dziewczynę we wnętrzu wojskowego samochodu, nakazując jej zachowanie zupełnej ciszy, by nikt z obsługi pociągu jej nie zauważył. „Krzysia” położyła się na przednim siedzeniu ciężarówki. Pociąg ruszył. Był to skład wiozący sprzęt wojskowy i amunicję. Na szczęście podróż przebiegała spokojnie, ale ona zdawała sobie sprawę, że jeżeli zostanie znaleziona, to czeka ją śmierć. Podjęła decyzję opuszczeniu transportu z uzbrojeniem na najbliższej stacji, na której pociąg się zatrzyma. Tak też się stało. Na dworcu kolejowym w Kielcach ukradkiem wyszła z wagonu i udała się do pobliskiego szpitala. Wymyśliła sobie, że będzie udawała ranną, najlepiej ze złamaną ręką, gdyż to zapewni jej bezpieczeństwo na dalszą podróż. Napotkany w szpitalu lekarz w ogóle nie chciał słyszeć o nałożeniu gipsu, między nim a „Krzysią” wywiązała się nieprzyjemna rozmowa, po której lekarz założył na jej rękę podwójny, bardzo ciężki opatrunek gipsowy. Z takim dodatkowym „bagażem” odgrywała rolę chorej i cierpiącej, tym bardziej, że za wszelką cenę musiała wsiąść do pociągu jadącego w kierunku Milanówka. Teraz należało kupić bilet. Widziała wokół siebie tłumy ludzi, dlatego, rzekomo z ogromnego bólu, zaczęła jęczeć. Sztuczka się udała. „Krzysia” wsiadła do pierwszego wagonu. Po wielu godzinach ciężkiej podróży, nocą dotarła do Milanówka. Obowiązywała godzina policyjna. Niemiecki kolejarz nie chciał wypuścić jej do miasta. Aby go przekonać „Krzysia” zgodnie z prawdą powiedziała mu o mieszkających tutaj rodzicach. I znowu miała miejsce nieprzewidziana sytuacja: kolejarz poprosił ją o podanie adresu rodziców i nie chcąc, jej narażać na niebezpieczeństwo, postanowił osobiście odprowadzić do domu. Była noc, szli przemierzając nieoświetlone ulice, jednak „Krzysia” czuła się pod jego opieką

bezpiecznie. Sama nie знаła topografii miasta. Wreszcie znaleźli ulicę i numer domu. Serce „Krzysi” mocno zabiło, przecież nie widziała rodziców od kilku miesięcy, nie wiedziała w jakim są stanie zdrowia, co stało się zresztą rodziny – jej siostrą, babcią, wujkiem Julkiem i stryjem Romkiem. Stanęła pod drzwiami uśpionego nocną ciszą domu, zapukała, po upływie czasu usłyszała zgrzyt przekręcanego klucza w zamku. Ktoś otworzył drzwi i w holu, pośród wielu uciekinierów z Warszawy, ujrzała śpiących na podłodze swoich rodziców. Wyrwani ze snu nie spodziewali się takiej niespodzianki. Ich „Krzysia” cała, chociaż w opłakanym stanie, stała przed nimi. Zapłakana z radości mama nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Tymczasem od października 1944 r. do stycznia 1945 r. Niemcy przeprowadzili planowaną operację rabowania, a następnie wyburzania i palenia Warszawy. Dom przy ulicy Uniwersyteckiej nr 4, bastion szczęścia, spokoju i bezpieczeństwa rodziny Pawłowskich, legł w gruzach grzebiąc w sobie cały dorobek życia kilku jej pokoleń. „Krzysia” nadal mieszkała w Milanówku. Rodzina znajdowała się w trudnej sytuacji materialnej. Na szczęście ojciec zdołał podjąć pracę, a i ona, jako żołnierz Armii Krajowej, nadal otrzymywała żołd. W miesiącach zimowych 1945 r. razem z ojcem podjęli decyzję przedostania się do Warszawy. Pewnego mroźnego i śnieżnego dnia dotarli do miasta. Ich oczom ukazał się koszmarny widok: sterczące w górę kikuty murów, morze gruzów po horyzont, pozostałości po barykadach, tu i ówdzie mogiły... Jednym słowem: miasto wydawało się zupełnie wymarłe, ale to były tylko pozory. Co rusz napotykali na takich samych warszawiaków jak oni, którzy przyszli tutaj, aby dać świadectwo, że nie wszystko skończone.

„Krzysia” z bijącym sercem podążała na Ochotę, chociaż wiedziała, że nie ma co liczyć na cud. Przedzierając się przez ruiny i ulice przypominające swoim wyglądem wąwozy, dotarła na ulicę Uniwersytecką, odnalazła swój rodzinny dom, lub ściślej mówiąc, to co po nim pozostało. Żal ścisnął serce, a łzy same napływały do oczu. Rozglądając się, w pewnym momencie dostrzegła jakiś przedmiot stojący na krawędzi zburzonego stropu. Ponieważ znajdował się on aż na wysokości pierwszego piętra, nie mogła dokładnie rozpoznać co to jest. Aby to sprawdzić, postanowiła wspiąć się po ruinach, oczywiście ojciec z obawy o jej bezpieczeństwo, był temu przeciwny. „Krzysia”



jednak należała do osób upartych. Zaczęła bardzo ostrożnie się wspinać, uważała na zalegający śnieg i lód. Gdy była już na tyle blisko, że miała w zasięgu ręki tajemniczy przedmiot, ze zdumieniem odkryła, że jest nim... mała porcelanowa baletnica. Figurka stała pionowo na krawędzi stropu, z główką tryumfalnie wzniesioną ku górze. Niestety z prawego ramienia sterczał jedynie kikut. Jej piękna koronkowa sukienka także uległa zniszczeniu, podobnie jak reszta porcelanowych figurek oraz piękna serwantka – jej dom. “Krzysia” ostrożnie ją zdjęła. W tej chwili mała baletnica stała się dla niej najcenniejszym przedmiotem, jaki widziała w swoim życiu, to niemy świadek tragedii walczącej Warszawy, a przede wszystkim jedyna rzecz jaka ocalała z całego dorobku rodziny.

Od tamtych czasów minęło siedemdziesiąt pięć lat. Moi Dziadkowie zdołali odbudować dom i rozpocząć nowe trudne życie. Dla porcelanowej baletnicy zakupili piękną mahoniową serwantkę przypominającą swoim wyglądem tę przedwojenną. Z pietyzmem ją tam przechowywali przez resztę swojego życia. Dzisiaj nadal mieszka na szklanej półce i jest z pietyzmem chroniona przez następne pokolenie.